

# Indochiny

---



**Czas trwania naszej wyprawy:** 17 sierpnia – 17 września 2005

**Uczestniczyły 3 osoby:** Bartek, Krzysiek i ja.

## Katowice – Warszawa – Moskwa – Bangkok – Siem Reap

Indochiny od dawien dawna mnie intrygowały. Z pewnością wpływ na to miała burzliwa historia tego regionu, jak i świetne filmy: *Łowca jeleni*, *Czas apokalipsy*, *Pluton* czy *Good morning Vietnam*. Ja jednak chciałem na własne oczy zobaczyć jak tam naprawdę jest, co się zmieniło od czasu wojny, jak tubylcy będą nas postrzegać, no i na ile wspomniane wyżej filmy oddawały klimat zarówno tego miejsca jak i tamtych czasów.

Za nim jednak doszło do wyjazdu, trzeba było się do niego odpowiednio przygotować. W związku z tym kupiliśmy oryginalne przewodniki Lonely Planet: *Vietnam*, *Laos*, *Cambodia*, oraz polskie tłumaczenie LP *Azja Południowo-Wschodnia*. W Czeskim Cieszynie na polską receptę wykupiliśmy lek na malarię Lariam (o 1/3 tańszy niż w Polsce), oraz zbookowaliśmy bilety w Aeroflocie do Bangkoku (2400 zł). Przez przypadek na necie spiknąłem się z Izą i Szymonem, którzy jak się okazało wybierali się na podobną wyprawę do naszej i dzięki ich pomocy dostaliśmy wizy wietnamską, tajską i laoską. Iza - wielkie podziękowania za ich załatwienie. I tak oto 16 września późnym wieczorem ruszyliśmy do Warszawy, do naszej przyjaciółki Joasi, u której zagościliśmy na jeden dzień. Z racji tego, że wylot z Warszawy do Moskwy mieliśmy po południu, postanowiliśmy odwiedzić Muzeum Powstania Warszawskiego. Jak się okazało był to dobry wybór, muzeum naprawdę świetnie i robi wrażenie.



Bangkok

Lot do Moskwy rejsowym Beingiem trwał niecałe 2 godziny. Na lotnisku Szeremietiewo musieliśmy spędzić 3 godziny czekając na nocny samolot do Bangkoku. Aby zabić nudę poszliśmy na piwo do jednej z licznych i bynajmniej nie tanich restauracji. W końcu nasz lot, przechodzimy standardową odprawę i pierwszy raz w życiu wsiadamy do rosyjskiej maszyny Ił-96. Samolot w środku wygląda strasznie topornie i bardziej przypomina autobus niż statek powietrzny. Pomimo, że to rejs międzykontynentalny w samolocie nie ma żadnych telewizorów, ani możliwości posłuchania jakiegokolwiek muzyki. Może to nawet i lepiej, gdyż 9-cio godzinny lot w zasadzie w większości przesypiamy.

W końcu jesteśmy, po sprawdzeniu naszych paszportów i wiz, odbieramy bagaże, wymieniamy dolary na baty (1 USD = 40 B) i w okienku wykupujemy lotniskową taksówkę do turystycznej dzielnicy Khao San (350 B). Wychodząc z klimatyzowanego lotniska do taksówki doznajemy lekkiego szoku termicznego. Jakby ktoś oblepił nas mokrą, gorącą gąbką. Upał i skrajna wilgotność, wręcz niewyobrażalna dla kogoś



spod naszej szerokości geograficznej. W ciągu 2 minut, które upłynęły od momentu wyjścia z lotniska i wejścia do taksówki jesteśmy cali zrani potem, który jak się okaże będzie naszym nieodłącznym towarzyszem przez prawie cały wyjazd.



Bangkok

Lotnisko w Bangkoku oddalone jest od centrum miasta o jakieś 15 km. Prowadzi z niego nowoczesna, płatna autostrada w całości zbudowana na wysokich filarach, pod którymi poprowadzono ruch lokalny. Warto dodać, że w Tajlandii obowiązuje ruch lewostronny, tak jak np. w Wielkiej Brytanii. My tymczasem wysiadamy na Khao San i bierzemy pierwszy lepszy hotel w cenie 250 B za trzyosobowy pokój. Wyprysznicowani i ubrani w minimalną ilość ubrań, wychodzimy na miasto. Najpierw posilamy się w jednej z licznych knajpek na Khao San, a później odwiedzamy kilka biur turystycznych i w końcu kupujemy najtańszy przejazd do Siem Reap w Kambodży za 450 B od osoby. Całe to łażenie, a przede wszystkim nieznośny upał męczy nas okrutnie do tego stopnia, że wracamy do hotelu na popołudniową drzemkę. Wieczorem znów zapuszczamy się w najbliższą okolice i zasiadamy w bardzo przyjemnej knajpeczce w bezpośrednim sąsiedztwie Khao San. Tam jedząc orientalne dania i zapijając je zimnym piwem obmyślamy strategię na kolejne dni i obserwujemy monsunową ulewę, która przez godzinę intensywnie zalewa naszą ulicę. W nocy, mimo zmęczenia długo nie możemy zasnąć przez niezwykle głośną muzykę z Khao San.

Następnego dnia rano, spakowani czekamy na nasz autobus do Kambodży. W końcu nie o 8:30 ale z godzinnym poślizgiem, wraz z kilkunastoma innymi turystami zostajemy zapakowani do klimatyzowanego busa i ruszamy na wschód. Po 4 godzinach docieramy w pobliże granicy, gdzie dokonujemy formalności związanych z kupnem wizy (Kambodża nie ma przedstawicielstwa w Polsce). Chyba lekko przepłacając za wizę (30 USD) dostajemy paszporty z powrotem i podjeżdżamy do samej granicy. Tutaj zostajemy oddani pod opiekę Kambodżanina, który wraz z całą grupą przechodzi przez wszystkie etapy procesu przekraczania granicy. Trwa to dobre 2 godziny. W końcu zostajemy zapakowani na kilka *tuktuków*, czyli taksówek zrobionych z motorków i po jakiś 2 km wysiadamy w kambodżańskim biurze podróży, gdzie czekamy kolejną godzinę na autobus do Siem Reap.

W międzyczasie nagabywani, przez naszego przewodnika, bardziej dla świętego spokoju niż potrzeby (w Kambodży i Laosie wszędzie można płacić zarówno batami jak i dolarami), wymieniamy po bardzo zaniżonym kursie 20 USD na riele. Nareszcie jest nasz autobus, choć gdybyśmy wiedzieli co nas czeka, pewnie tak ochoczo byśmy do niego nie wsiadali. Autobusem już bez klimatyzacji, z małymi, ciasnymi fotelami ruszamy w zaledwie 150 km trasę jaka nam jeszcze została do Siem Reap. Nikt z nas



nie przypuszczał, że tak krótki odcinek drogi zajmie nam wieczność, bo aż 8 godzin. Zaraz za granicą skończył się asfalt i wjechaliśmy w gruntową drogę podziurawioną przez deszcze i rozjechaną przez ciężarówki. Zapyleni czerwonym kambodżańskim pyłem, niemiłosiernie wytrzepani na dziurach (jak ten autobus to przejechał bez połamania resorów?) i ściśnięci jak sardynki w puszce, w potwornym upale mkniemy z prędkością nie przekraczającą 20 km/h. Dopiero jakieś 30 km przed Siem Reap pojawia się w końcu asfalt. Co za ulga. Nie dość, że prędkość wzrasta to w końcu zaczyna nas lekko chłodzić pęd powietrza. Piekielnie zmęczeni docieramy już po zmierzchu do celu naszej podróży. Oczywiście autobus podwozi nas pod jedynie słuszny hotel, z którym rzecz jasna ma umowę. Jest nam to jednak obojętne, zwłaszcza, że hotel jest całkiem przyjemny i tani (6 USD za pokój trzyosobowy). Pierwsze co robię to biorę prysznic, który chyba nigdy nie sprawiał mi takiej przyjemności jak wtedy właśnie. Odświeżeni idziemy wreszcie coś przekąsić. Po drodze mijamy szereg bardzo fajnych knajpek i mnóstwo hoteli, w większości pustych, jako że to nie sezon na podróżowanie po tej części świata. Decydujemy się na konsumpcję w lokalnej knajpce, pod gołym niebem. Zamawiam pysznego luk laka czyli wołowinę oczywiście z ryżem, po czym pobieram szybką naukę jedzenia pałeczkami. Do posiłku kupujemy przepyszne Lao Beer, czyli najsłynniejsze azjatyckie piwo, rodem z Laosu. Pyszota. Najedzeni, wracamy *tuktukiem* do hotelu. Już jutro czeka na nas największa kambodżańska atrakcja światowego formatu - Angkor Wat.



Angkor Wat

### **Angkor – Phnom Penh – Choeng Ek (Pola Śmierci) – Neak Luong**

Wstajemy wcześnie rano, jemy śniadanie w hotelu, po czym rozpoczynamy negocjacje z kierowcą *tuktuka*, którego udaje nam się wynająć na małą pętlę po Angkor (cały dzień) za 10 USD. Uzbrojeni w aparaty fotograficzne, podjeżdżamy pod bramę wjazdową, gdzie wykupujemy 3-dniową wejściówkę za 40 USD (potrzebne zdjęcie) i ruszamy podziwiać zespół świątyń, które zbudowali Khmerowie w okresie IX - XIV w. Jako pierwsza na naszej trasie jest najsłynniejsza z nich, wpisana na listę UNESCO, uznana za największą budowlę sakralną na świecie i arcydzieło światowej architektury - Angkor Wat.

Zostawiamy naszego *tuktuka* wraz z kierowcą i przechodzimy kamiennym mostem przez sporą fosę która okala cały kompleks świątynny. Mijamy bramę wejściową i już możemy podziwiać niesamowitą, przeogromną budowlę nad którą dominują trzy wysokie wieże (najwyższa ma 55 m) w kształcie piramid. Niezwykle stromymi schodami wchodzimy na najwyższy taras umiejscowiony ponad 20 m nad ziemią, z



którego rozciąga się wspaniały widok na całą świątynię jak i na najbliższą okolicę. W dolnej części budowli, na jej zewnętrznych ścianach, pod swojego rodzaju arkadami podziwiamy niesamowicie misternie wyrzeźbione płaskorzeźby z 88-oma demonami i 92-oma bóstwami. Coś niesamowitego. Nawet nie wiemy kiedy mijają nam 2 godziny. Dopiero kończąca się woda i zmęczenie informują nas o upływającym czasie. Opuszczamy Angor Wat i jedziemy naszym *tuktukiem* do kolejnej budowli, równie wspaniałej, choć zupełnie innej od Angoru. Bayon bo o nim tu mowa, to 216 olbrzymich rzeźb przedstawiających ludzkie twarze, które z każdej strony "wpatrują" się w zwiedzających tę świątynię. Wychodząc z Bayonu robimy przerwę na szybki posiłek i zimne piwo, upał tego dnia jest wyjątkowo dokuczliwy a temperatura sięga 35°C.



Płaskorzeźba

Złapawszy drugi oddech zaliczamy w tym dniu jeszcze kolejne atrakcje m.in. Baphuon, Ta Keo, Ta Prohm i Banteay Kdei. Na uwagę zasługuje zwłaszcza Ta Prohm, która częściowo jest zarośnięta przez dżunglę. Fantastycznie wyglądają kilkunastometrowe drzewa, których korzenie oplatają mury i ściany budowli, niestety powodując tu i ówdzie zawalenie poszczególnych fragmentów świątyni. Późnym popołudniem wracamy do hotelu i tradycyjnie już po odświeżeniu się udajemy się na obfity posiłek i zimne piwo, które na chwilę pozwala schłodzić nasz organizm. Na drugi dzień wynajmujemy znów tego samego kierowcę i po dłuższym targowaniu (16 USD) udajemy się znów na zwiedzanie, tym razem dużej pętli wokół Angkoru. Godzinę zajmuje nam pokonanie 32 km do Bantei Srei, zwanej twierdzą kobiet. Następnie zwiedzamy Ta Som, Preah Neak Pean i Preah Khan. Spotykamy w końcu pierwszych Polaków, ze zorganizowanej wycieczki, którzy tak jak my latają od jednej świątyni do drugiej. Przy czym oni mają z góry nakreślony plan zwiedzania, przewodnika, autobus, a my nasze przewodniki LP i pełną improwizację...





---

Angkor Wag

Wraz z upływem czasu nasza ciekawość i zainteresowanie budowlami Angoru powoli zaczyna mijać, to co zobaczyliśmy do tej pory w pełni nas usatysfakcjonowało. Wieczorem tradycyjnie już jemy coś pysznego ze wspaniałej i niezwykle bogatej kuchni khmerskiej. Kupujemy też bilet na autobus do stolicy Kambodży Phnom Penh (4 USD). Mimo zapewnień w naszym hotelu, że droga do Phnom Penh jest w całości nowa i podróż zajmie nam 5 godzin, dosyć sceptycznie nastawieni o godzinie 9:00 rano opuszczamy rejsowym autobusem Siem Reap. Na szczęście nasze wątpliwości okazują się nieuzasadnione i faktycznie po 5 godzinach, miejscami brawurowej jazdy kierowcy busa, docieramy na miejsce. Tam już czeka na nas dziki tłum, który wręcz walczy o nas, prześcigając się w ofertach noclegowych. Nie wiele się namyślając bierzemy pierwszego lepszego naganiacza, który pakuje nas do *tuktuka* i zawozi do turystycznej dzielnicy na wschodnim wybrzeżu Jeziora Boeng Kak. Tam po obejrzeniu hotelu, decydujemy się na pokój 3 osobowy w cenie 5 USD, a dzięki temu, że wybraliśmy proponowany hotel, nic nie płacimy za *tuktuka*. Sam hotel jest przepięknie położony, a przylega do niego spory drewniany pomost wychodzący w stronę jeziora. Na pomoście jest umiejscowiony bar-restauracja, stół do bilardu (gratis), oraz stoliczki, fotele i leżaki.



---

Bayon

Wieczorem można z niego podziwiać zachód słońca, w dzień opalać się, popijając zimne piwo. Co jakiś czas rozchodzi się słodkawy zapach palonych przez turystów skrętów, którymi tutaj nielegalnie handlują hotelarze. Jednym słowem pełna sielanka. My tymczasem jemy obiad i ponieważ jest jeszcze stosunkowo wcześnie udajemy się na zwiedzanie Pałacu Królewskiego i Srebrnej Pagody (wejściówka 3 USD + 2 USD za fotografowanie). Ponieważ upał i wilgotność osiągają skrajne wartości, ociekając potem maksymalnie ograniczamy podziwianie wspaniałej



architektury. W nadziei na to że pobliskie Muzeum Narodowe jest zaopatrzone w klimatyzację przenosimy się do niego (2 USD). Niestety jesteśmy przykro rozczarowani, nie dość że nie ma tu zbawczego chłodu, to jeszcze muzeum niczym specjalnie nie imponuje. Dlatego i tutaj nie bawimy specjalnie długo, w końcu mokrzy od potu wpadamy do pierwszej z brzegu knajpy nad Mekongiem i tam dopiero przy zimnym piwie dochodzimy powoli do siebie. Tam też sprawdzamy na termometrze temperaturę  $+37^{\circ}\text{C}$  w cieniu, przy wilgotności powietrza odpowiadającej saunie parowej. Takie zestawienie niekorzystnych czynników oprócz obfitego pocenia, odbiera apetyt i powoduje bardzo szybkie męczenie. Nawet w nocy nie ma specjalnego wytchnienia gdyż temperatura jest nie wiele niższa niż w dzień.



Ta Prohm

W kolejnym dniu jedziemy do okrytego ponurą sławą Muzeum Tuol Sleng (S-21 prison), w którym reżim Pol Pota więził, torturował i mordował zarówno swoich przeciwników politycznych, jak inteligencję, mnichów, mniejszości narodowe (wejście 3 USD). Szacuje się że w latach 1975-1979 w Kambodży z rąk *Czerwonych Khmerów*, a także głodu, chorób i niewolniczej pracy zginęła blisko 1/4 całej populacji Kambodży. S-21 prison to niegdyś budynek szkoły wyższej, zamieniony w 1975 r. na więzienie, a obecnie muzeum dokumentujące zbrodnie *Czerwonych Khmerów*. Zwiedzanie rozpoczyna prelekcja filmu produkcji francuskiej, który przedstawia losy pewnej pary Kambodżan na tle tamtych tragicznych wydarzeń. Wędrując przez muzeum, możemy z bliska przypatrzeć się narzędziom tortur, zobaczyć mikroskopijne cele, w których przetrzymywano więźniów, ich zdjęcia. W ostatniej sali mapa Kambodży ułożona z czaszek pokazuje skalę ludobójstwa. Wszystko to sprawia ogólnie bardzo przygnębiające wrażenie. Z szacunku dla ofiar i powagi tego miejsca postanawiam nie robić tutaj żadnych zdjęć poza jednym na którym widnieje gmach szkoły-więzienia. Z Tuol Sleng udajemy się na pola śmierci (*Killing Fields*) w Choeng Ek, 14 km na południowy zachód od centrum stolicy (wstęp 2 USD). W wybudowanym, szklanym pomniku umieszczono tutaj ponad 8 tys. czaszek, posegregowanych według płci i wieku. Wokół budowli rozciągają się masowe groby, gdzieś tam widać resztki ludzkich kości. Przy każdym tabliczka: *tu spoczywa 2 tys więźniów, tam 1,5 tys, tam 2,5 tys...* Opuszczamy to makabryczne miejsce i wracamy do Phnom Penh, tego dnia nic już więcej nie oglądamy, wykupujemy jedynie 2-dniową wycieczkę do Sajgonu połączoną ze zwiedzaniem delty Mekongu (19 USD).

Rano znów bardzo wcześnie wstajemy (czy w te wakacje wyśpimy się?) i jedziemy busikiem do Neak Luong, gdzie już czeka na nas żółta łódź, którą popłyniemy do granicy kambodżańsko-wietnamskiej.





Phnom Penh

### **Chau Doc – Sajgon (Ho Chi Minh City) – Cu Chi – Danang – Hoi An – Hanoi**

W łodzi zajmujemy miejsca na dachu, także mamy wspaniałe widoki na Mekong i dzięki temu możemy robić bez opamiętania masę zdjęć. Wspaniałe wyglądają zarówno małe dżonki walczące z niezwykle silnym prądem, jak i olbrzymie barki dostojnie przetaczające się po żółtej rzece. Po mniej więcej godzinie docieramy do punktu granicznego. Najpierw formalności załatwiamy po stronie kambodżańskiej, potem podpływamy do Wietnamczyków. W oczekiwaniu na zgodę na wjazd do Socjalistycznej Republiki Wietnamu, jemy obiad i raczymy się lokalnym piwem. Po przeszło godzinie, dostajemy z powrotem paszporty, zaliczamy biuro kwarantanny (formalność) i kładziemy cały nasz dobytek w maszynie do prześwietlania (takiej jak na lotniskach). Wszystkie te procedury śmieszają nas, aż nie chce się wierzyć że jeszcze kilkanaście lat temu było u nas podobnie...

W końcu wraz z grupką innych turystów wsiadamy do wietnamskiej łodzi i ruszamy dalej w dół Mekongu. Wietnam jest gęściej zaludniony i bardziej zamożny od swojego sąsiada, co zresztą od razu widać. Mijamy dużo więcej łodzi, barek, statków, aniżeli w Kambodży. Wzdłuż brzegów rzeki też jest zdecydowanie więcej zabudowań. Im bliżej Chau Doc - jednego z większych miast w delcie Mekongu, tym ruch na rzece i zabudowa gęstnieją. Pojawiają się farmy rybne, w których hoduje się na skalę przemysłową ryby. Praktycznie z każdego statku czy łódeczki machają do nas przyjaźnie tubylcy. Po jakichś 4 godzinach jesteśmy w Chau Doc, tam przesiadamy się do *tuktuka* i jedziemy do hotelu, który malowniczo położony jest na zboczach góry Sam. Wieczorem idziemy na jej szczyt, skąd mamy możliwość podziwiania zachodu słońca nad zalaną po horyzont przez Mekong okolicą. Rano znów mamy wczesną pobudkę, po lekkim śniadaniu wypływamy na zwiedzanie farm rybnych, oraz wiosek w delcie Mekongu. Na lunch wracamy znów do Chau Doc, po czym już busikiem jedziemy do Sajgonu. Po drodze przejeżdżamy przez niezliczoną ilość zarówno małych jak i olbrzymich mostów. Te ostatnie zbudowano z pomocą Japonii, o czym informują nas tablice z widniejącą na nich flagą Wietnamu i Japonii. Już po zmroku przyjeżdżamy do Sajgonu, od razu w rejon turystyczny przy Pham Ngu Lao. Tutaj po krótkich poszukiwaniach decydujemy się na klimatyzowany pokój w cenie 9 USD. Wieczorem tradycyjnie już udajemy się na posiłek i zimne piwo, przy okazji kupujemy wycieczkę do tuneli Vietcongu (4 USD + kolejne 4 USD wstęp) i bilety na nocny pociąg do Danang (500 tys. dongów). W nocy pierwszy raz od przyjazdu do Azji śpimy w komfortowych warunkach, w suchym, przyjemnie chłodnym pokoju.





Pierwszy też raz budzę się rano wypoczęty i suchy, gdyż do tej pory nawet śpiąc pociełem się obficie... Jak to już stało się tradycją na śniadanie zjadamy talerz pysznych owoców, po czym zapakowani do busika z klimatyzacją jedziemy do Cu Chi, miejsca w którym armia Vietcongu zbudowała cały system bunkrów i tuneli, znanych choćby z filmu Oliver'a Stone *Pluton*.



Mekong

Po Cu Chi oprowadza nas fantastyczny przewodnik, który z niesamowitym zapałem i bardzo dokładnie pokazuje nam bunkry, pułapki na Amerykanów, sposoby kamuflażu i opowiada przy tym masę ciekawych rzeczy o w sumie nie tak odległych czasach jakimi była wojna w Wietnamie. Mamy nawet okazję przejść 90 m zrekonstruowanym tunelem, w którym ciasno jest nawet dla niskich Wietnamczyków. Tak więc schodzimy na najniższy, trzeci poziom i miejscami prawie czołgając się przeciskamy się, bardzo powoli pokonując kolejne metry. W końcu co za ulga, wychodzimy na świeże (sic!) powietrze i ociekając potem, zgodnie stwierdzamy: Amerykanie **nie mogli** wygrać tej wojny. Kolejną atrakcją jest możliwość, za w sumie dość wygórowaną opłatą, postrzelania z ciężkich karabinów maszynowych, na pobliskiej strzelnicy. To chyba jedyny taki skansen na świecie... Wracając z Cu Chi zatrzymujemy się w Sajgonie w Muzeum Pozostałości Wojennych (10 tys. dongów), które dokumentuje wojnę wietnamską, moim zdaniem całkiem rzetelnie i obiektywnie. Wracając z muzeum, przechadzamy się trochę po centrum w sumie dosyć przyjemnego miasta. Czasu mamy sporo, bo nocny pociąg jest dopiero o 23:00. W pewnej chwili zaczepia nas ktoś słowami *polski, polish...*, stajemy zaskoczeni i już za chwile lądujemy w knajpie na piwie ze Szkotem, który rok uczył angielskiego w ...Katowicach!!! Świat jest mały i pełen niespodzianek...



Chau Doc



W świetnych nastrojach opuszczamy Sajgon, leżąc wygodnie w sypialnym pociągu relacji Sajgon - Hanoi. Pociągi wietnamskie są podobne do naszych, a wagony dzielą się na 5 klas: VIP, miękkie kuszetki, twarde kuszetki, miękkie ławki, twarde ławki. Wszystkie wagony są czyste i klimatyzowane. Mimo że podróż pociągiem jest droższa niż autobusem, to pozwala zaoszczędzić sporo czasu, dzięki temu że jedzie się nonstop i to nocą. W pociągu podają wodę i posiłek, jednak odradzam decydowania się na konsumpcję, jedzenie nie dość że jest wstrętne to na dodatek nieświeże (miałem po nim niezłe zejście w Hanoi). Z półgodzinnym opóźnieniem w południe docieramy do Danang. Po wyjściu z dworca od razu zainteresowali się nami taksówkarze i właściciele motorków. Po krótkich negocjacjach decydujemy się na 3 motobiki (3 USD za osobę), którymi jedziemy do oddalonego o 30 km zabytkowego miasteczka Hoi An. W międzyczasie kierowcy uzgadniają z nami przejazd powrotny, wraz ze zwiedzaniem okolicy. Za całość w sumie chcą 45 USD, na co przystajemy, płacąc 20 USD zaliczki.



Delta Mekongu

Hoi An to pełna uroku miejscina, z małymi uliczkami i bardzo ładną, starą zabudową. Słynie ze wspaniałej kuchni, o czym przekonaliśmy się później, zakładów krawieckich, oraz malowniczych plaż. Jest tutaj dużo więcej turystów niż gdzie indziej, nic więc dziwnego, że hotele też są nieco droższe (za nasz 3-osobowy pokój z AC płacimy 12 USD). Miasteczko dużo ładniej prezentuje się w nocy, rozświetlone kolorowymi lampionami oraz odbijającymi się w rzece światłami z knajp. W jednej z nich odkrywamy *michały* czyli piłkarzyki, którymi jesteśmy namiętными graczami. Pomimo tego, że są mocno sfatygowane i diametralnie inne od europejskich, nie przeszkadza nam to w ograniu wszystkich tubylców i turystów. Tak, ten wieczór był dla nas baaaardzo przyjemny. Do hotelu wracamy późno w nocy, także musimy się dobijać do niego i budzić obsługę, gdyż wszystko jest już dawno pozamykane. Na dodatek okazuje się, że coś im się zrząbało w nocy i nie działa nasza klima, także tej nocy znów jak w saunie...





Tunel w Cu Chi

Na drugi dzień jedziemy do ruin świątyni My Son (wycieczka 4 USD, wstęp 4 USD), którą w dużej mierze zniszczyli Amerykanie obficie bombardując okolicę w czasie wojny. Mimo to część budowli udało się odrestaurować, reszta pośród lejów po bombach przedstawia bezładną kupę gruzu i kamieni. Na miejscu mamy możliwość podziwiać krótki pokaz tańca i muzyki Czampów, małej grupy etnicznej zamieszkującej niegdyś te tereny. Wczesnym popołudniem wracamy do Hoi An, pożyczamy w naszym hotelu rozklekotane, przedpotopowe rowery (1000 dongów za cały dzień) i udajemy się na oddaloną o kilka kilometrów od miasteczka piaszczystą plażę nad Morzem Południowo-Chińskim. W nadziei zaznania zbawczej, chłodnej kąpieli czym prędzej wskakujemy do morza i doznajemy szoku. Woda jest jeszcze cieplejsza niż powietrze!!! Koszmar. Taplamy się tak ze 2 godziny bez większego entuzjazmu, po czym wracamy do miasta. Wieczorem robimy tradycyjny obchód knajpek, w jednej z nich decydujemy się na specjalność lokalu: tuńczyka zapiekanego w liściu banana. Czegoś tak pysznego w życiu nie jadłem, no po prostu poezja smaku!!! Z żalem opuszczamy sympatyczne Hoi An, jednak nie jak planowaliśmy na motorkach z umówionymi wcześniej Wietnamczykami, a normalnie taksówką. Powód jest banalny, w nocy rozpadało się, a rześista ulewa wydaje się nie mieć końca.



Hoi An

Wyjeżdżamy z Danang i jedziemy już bezpośrednio do Hanoi (bilet na twarde kuszetki 400 tys. dongów). O godzinie 5:30 jesteśmy w stolicy Wietnamu. Z dworca idziemy na piechotę w okolicę Jeziora Hoan Kiem, gdzie decydujemy się na hotel w cenie 11 USD za 3 osobowy pokój z klimatyzacją. Po zrzuceniu plecaków i kąpieli idziemy na mały rekonesans okolic jeziora, następnie udajemy się do Mauzoleum Ho Chi Minha. Żeby dostać się do niego trzeba nie lada się nagimnastykować, na olbrzymim plac gdzie jest mauzoleum prowadzi bowiem jedno, jedyne wejście,



obstawione przez policję, wojsko i tajniaków. Po skrupulatnej kontroli, ustawieni dwójkami w około 20 osobowej grupie, zostajemy dopuszczeni przed oblicze bohatera komunistycznego Wietnamu. W sumie mauzoleum w Hanoi nie wiele różni się od tego w Moskwie.



Plaża w Hoi An

Następnym naszym celem jest polska ambasada. Z racji tego, że nie wiemy, czy dla turystów, na północy kraju, otwarto nowe przejścia graniczne między Wietnamem a Laosem, chcemy właśnie poprzez naszą ambasadę zasięgnąć języka. Jakież jest nasze zdziwienie, gdy pracowniczka naszej ambasady nie udziela nam żadnej konkretnej informacji ewidentnie nas spławiając. Jej zdaniem powinniśmy pytać w informacji turystycznej, choć pewnie wie tak samo jak i my że coś takiego w Wietnamie nie istnieje, a jeżeli już to są to prywatne agencje trudniące się sprzedażą wycieczek i biletów. Nie pozostaje nam nic innego jak podziękować za wyczerpującą informację i zapomnieć o całej sprawie. Pytanie tylko czy praca w ambasadzie to zwyczajna ciepła posadka dla nieudaczników z kraju, czy też coś więcej.



Hanoi - Mauzoleum

Wracamy do hotelu, w którym zalegam w łóżku, na skutek problemów żołądkowych po pociągowym jedzeniu. Krzysiek i Bartek natomiast ruszają do centrum żeby mimo wszystko dowiedzieć się jak to jest z tą granicą. Niestety tak jak to było do przewidzenia niczego się nie dowiedzieli, owe "informacje turystyczne" jedyne co mogły, to zaproponować nam kupno biletu na samolot do Laosu (biuro ze sprzedaży biletów ma kilkuprocentową prowizję). Chcąc nie chcąc decydujemy się na kupno biletów na przelot z Hanoi do Luang Prabang (142 USD + podatek wyjazdowy 14 USD). Nie możemy sobie pozwolić na stratę czasu, wynikającą z ewentualnego zawrócenia nas z granicy. A wystarczyłby jeden telefon pani w ambasadzie np. do wietnamskiego MSW i wszystko byłoby jasne...





Rejs po Ha Long

Wraz z zakupem biletów lotniczych, dokonujemy kupna biletów w dwie strony na pociąg do Lao Cai (15 USD), oraz decydujemy się na trzydniową wycieczkę po zatoce Ha Long (55 USD). Wieczorem chłopaki idą trochę poszaleć po knajpach, a ja zostaję w łóżku starając się nakłonić mój żołądek na pełną współpracę z resztą ciała.

### **Hanoi – Zatoka Ha Long – Cat Ba – Sapa – Hanoi**

Mimo że rano byłem jeszcze mocno na wojennej ścieżce ze zdrowiem, decyduję się ruszyć z wyrka. Ten akt desperacji musiał widocznie trafić w końcu do zbuntowanego żołądka bo zaczynam odzyskiwać apetyt i powoli dochodzić do siebie. W międzyczasie, po około 3 godzinach jazdy busikiem dojeżdżamy do portu, gdzie zostajemy zaokrętowani na jeden z wielu czekających stateczków. Są to niezbyt duże, drewniane jednostki, z 5-cioma dwuosobowymi kajutami, 2-oma jednoosobowymi (wszystkie z małą łazienką), przestronną messą i sporym tarasem. Całość tworzy naprawdę niezły klimat. Po zajęciu kajut, dostajemy przepyszny lunch oparty w całości na owocach morza, po czym wyruszamy w rejs. Przed nami wylaniają się pierwsze wysepki, których jest tutaj ponad 1600. Obszar ten uznany za jeden z cudów przyrody wpisano w 1994 roku na Listę Światowego Dziedzictwa Kulturalnego i Przyrodniczego UNESCO. I nic dziwnego, niezwykle malownicze, wysokie, skaliste wysepki, porośnięte tropikalną roślinnością wyglądają urzekająco. Bez wątpienia jest to jedna z najładniejszych rzeczy jaką widziałem do tej pory.



Wyspa

Klucząc między wysepkami dopływamy do olbrzymiej Jaskini Sung Sot zwanej grota niespodzianek. Wspaniale prezentuje się kolorowo oświetlona szata naciekowa, z bardzo oryginalnymi w kształtach stalaktytami i stalagmitami. Wyjście z jaskini jest



umiejscowione stosunkowo wysoko, dlatego też mamy możliwość napawać się przepięknym widokiem na okoliczne wysepki. Ale to nie koniec atrakcji tego dnia. Dopływamy do małej zatoczki, rzucamy kotwicę i przesiadamy się do kajaków, którymi przez 2 godziny pływamy między maleńkimi wysepkami. Na jedną z nich można nawet wejść, skąd roztacza się wspaniała panorama na zatokę Ha Long. Wieczorem natomiast taplamy się w morzu i skaczemy z dachu naszego statku do wody. Na kolację znów dostajemy owoce morza. Dla mnie hitem są rewelacyjne krewetki, nigdy nie przypuszczałem, że mają tak delikatne mięso... Ukołysani niewielkimi falami zasypiamy po dniu pełnym wrażeń w swoich kajutach.



Jaskinia Niespodzianek

Rano, po lekkim śniadaniu kontynuujemy rejs po zatoce. Tym razem płyniemy do jedynej zamieszkałej wyspy w okolicy - Cat Ba. Zanim jednak znajdziemy się w jej części turystycznej, to wcześniej cumujemy od strony niezamieszkałej, porośniętej dżunglą. Obszar ten stanowi park narodowy, w którym żyje m.in. wiele gatunków małp. 4 godzinny spacer przez dżunglę wyciska z nas dosłownie siódme poty. Panuje tu wręcz niemożliwa do opisanego wilgoć i upał. 1,5 litra wody jaka przypada na każdego z nas ledwo nam starcza. Nie mniej trekking przez gęszcz i góry bardzo nam się podoba. W końcu jesteśmy z powrotem na łodzi. Statek zabiera nas na piaszczystą plażę, gdzie przez 3 godziny relaksujemy się. Pomimo że woda jest gorąca, to daje jednak lekką ulgę i wytchnienie od upału. Na lunch dostajemy znów w głównej mierze owoce morza, a po jedzeniu płyniemy do głównej przystani na Cat Ba. Tam kwaterują nas w jednym z licznych hoteli i dostajemy wolny czas do zagospodarowania we własnym zakresie. Oczywiście spędzamy go na jednym z naszych ulubionych zajęć jakim jest spożywanie zimnego piwa. W Wietnamie można je również dostać pod nazwą *bia hoi* prosto z beczek. Jest to bardzo lekkie, świeże nie pasteryzowane piwo, dobre i bardzo tanie (3000-5000 dongów). Podczas jednej z takich biesiad zostaję zaproszony na wspólny toast z tubylcami. Stukając się z każdym z nich, wypijam duszkiem piwo co wyraźnie im się podoba, gdyż po chwili fundują mi kolejny kufelek zimnego napoju. Niestety nijak się nie mogę z nimi porozumieć gdyż poza swoim ojczystym językiem nie znają ani słowa w żadnym innym.





Zatoka Ha Long

Nazajutrz 2 września przypada w Wietnamie Dzień Niepodległości. Wprowadza to lekkie zamieszanie, i nieco komplikuje ostatni dzień naszej wycieczki. Nie mniej nasz organizator należycie wywiązuje się ze swoich obowiązków, także mimo krótkich przestojów i paru nieprzewidzianych przesiadek wszystko przebiega sprawnie. Po południu jesteśmy z powrotem w Hanoi, trochę się szwędamy po starym mieście, aż w końcu wieczorem trafiamy na dworzec kolejowy, skąd nocnym pociągiem jedziemy na północ Wietnamu, pod granicę chińską do Lao Cai. Tam przesiadamy się do jednego z oczekujących busików i jedziemy do Sapy (30 tys. dongów). Pokonując liczne serpentyny pniemy się cały czas w górę, aż w końcu docieramy do małej, górskiej miejscowości. Zatrzymujemy się w bardzo sympatycznym hotelu (7 USD za pokój), z widokiem na całkiem okazałe góry z najwyższym szczytem Wietnamu Fan Si Pan (3144 mnpm). Z racji położenia jest tutaj chłodniej niż w reszcie kraju (tylko 29°C), niestety ciężko nazwać to miejsce kurortem górskim. Okolicę Sapy zamieszkuje kilka grup etnicznych, które w barwnych strojach (każda grupa ma inny) przechadzają się po mieście i w strasznie natrętny sposób wciskają turystom przeróżne wyroby rękodzielnicze. Upierdliwość by nie rzec bezczelność owych plemion nie ma granic, także trzeba mieć do nich anielską wręcz cierpliwość.

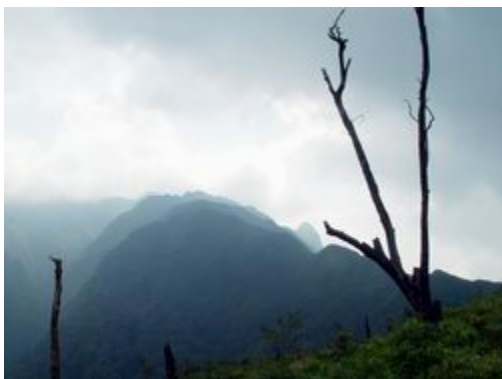


Igła

Na szczęście lokalny folklor nie był naszym celem dla którego tu przyjechaliśmy. Już na drugi dzień, o godzinie 6 rano, po wcześniejszym zasięgnięciu języka i kupnie mapy, jedziemy na przełęcz, z której rozpoczynamy wędrówkę na szczyt Fan Si Pan. Musimy się spieszyć żeby dwudniową trasę zrobić w jeden dzień. Nocleg w dżungli nie wchodzi w rachubę, gdyż nie mamy namiotu. Załatwiamy formalności z wejściem



do parku narodowego (3-dniowa wejściówka 50 tys. dongów) i ruszamy w górę. Niestety już na samym początku, tracimy cenną godzinę błądząc i kręcąc się w kółko. Mimo iż później wszystko idzie nam już sprawnie i szczyt jest w zasięgu ręki, musimy odpuścić, nie zdążymy wrócić przed zmrokiem. Dzień trwa tutaj około 12 godzin, a ciemno robi się już o 18:00. Szkoda bo zabrakło nam właśnie 1-2 godzin do pełni szczęścia. Co ciekawe mimo iż jest to dość popularna trasa nie spotkaliśmy po drodze żywej duszy. Chociaż okolica jest bardzo ładna, to z rzadka rozstępowały się chmury tak, żebyśmy mogli podziwiać piękno górskiego krajobrazu. Zmęczeni, w podłych nastrojach, na resztkach wody wracamy na przełęcz, z której zaczęliśmy naszą wędrówkę. Tutaj udaje nam się złapać na stopa wielką cysternę, także późno wieczorem jesteśmy znów w Sapie. W kolejnym dniu decydujemy się na wynajęcie motorków (5 USD za cały dzień), tankujemy je do pełna i ruszamy zwiedzać okolicę. Na początek jedziemy pod wodospad Cat Cat, następnie podziwiać wspaniałe tarasy z polami ryżowymi i na koniec wodospad srebrny. Powoli nabieramy wprawy w poruszaniu się naszymi Hondami, którymi bardzo fajnie się pomyka, zwłaszcza że można tu jeździć bez kasków. Tego dnia pokonaliśmy na motorkach około 70 km, spalając 1,5 l benzyny. Nic dziwnego zatem że to tutaj najpopularniejszy środek transportu; stosunkowo szybki (zwłaszcza w ruchu miejskim) i bardzo ekonomiczny. Wieczorem udajemy się na piwo do maleńkiej knajpki, którą prowadzi przesympatyczny dziadek, namiętnie grający w szachy. Oczywiście dają się skusić na kilka partyjek, niestety bilans naszych zmagañ jest mało korzystny dla mnie. Na 6 partii udaje mi się wygrać tylko dwie...



W drodze na Fan Si Pan

Ostatni dzień w Sapie dłuży nam się niesamowicie. Nasz pociąg do Hanoi odjeżdża dopiero o 21, także mamy sporo czasu na kupno jakiś prezentów, internet, itd. W końcu wyjeżdżamy z Sapy, ale jak się okazuje, nie do Lao Cai a nieco dalej położonego miasteczka na trasie pociągu (oczywiście za dodatkową opłatą, w sumie 50 tys. dongów). Całe to zamieszanie spowodowały nocne opady, przez które obsunęły się skały na tory kolejowe, tak że pociąg nie mógł dojechać do końcowej stacji. Na szczęście dalsza część podróży przebiegła już bez niespodzianek i na następny dzień o 5:30 rano znaleźliśmy się w Hanoi. Tam szybko przesiedliśmy się do taksówki, którą pojechaliśmy na lotnisko (10 USD). Pośpiech z naszej strony był jak najbardziej wskazany, gdyż już o 9:00 mieliśmy samolot do Laosu. Po zapłaceniu opłaty wyjazdowej w wysokości 14 USD i załatwieniu wszystkich formalności usadowiliśmy się wygodnie w malutkim ATR-ze i odlecieli do Vientiane.







Tarasy

### **Vientiane – Luang Prabang – Nong Khiaw – Luang Prabang – Vang Vieng – Vientiane – Bangkok – Moskwa – Warszawa – Katowice**

Po godzinnym locie lądujemy w stolicy Laosu Vientiane, który wita nas potężną ulewą. Śmiesznie wygląda stewardesa z wielkim parasolem odprowadzająca nas kolejno do busika. Na małym lotnisku stajemy przed obliczem pogranicznika, który z uśmiechem stempluje nasze paszporty. Po krótkiej naradzie decydujemy się wymienić 100 USD dostając w zamian całą stertę pieniędzy, gdyż pomimo inflacji nie ma w Laosie wysokich nominałów. Każdy z nas dostaje wielki plik banknotów z którym tak na dobrą sprawę nie wie co zrobić. Z lotniska międzynarodowego przenosimy się na lokalne, wypijamy pyszne Lao Beer i odlatujemy do Luang Prabang. Po króciutkim locie jesteśmy w Luang Prabang, przepięknym miasteczku w zakolu Mekongu, otoczonym górami. Dookoła znajduje się przeszło 30 świątyń, a całość uzupełnia stara, francuska zabudowa kolonialna. Nic więc dziwnego, że miasteczko wpisano na Listę Światowego Dziedzictwa Kulturalnego i Przyrodniczego UNESCO, bo jest rzeczywiście unikatem na skalę światową. Zatrzymujemy się w jednym z hotelików nad Mekongiem (6 USD za pokój) i ruszamy na zwiedzanie świątyń. Wejście do większości z nich jest bezpłatne, te większe i bardziej okazałe kosztują 5000 kipów (0,5 USD). Wieczorem udajemy się na targ z rękodzielnictwem, na którym można kupić za bezcen ubrania, lampiony, obrazy, rzeźby i masę innych wspaniałych drobiazgów. Tuż obok są stoiska z domową kuchnią i przepyszna grilowana kingfish z lemongrass'em. Całość podawana jest na liściu banana a w połączeniu z zimnym piwem Lao smakuje fenomenalnie.



Świątynia w Luang Prabang

Rankiem, kolejnego dnia, wynajmujemy *jumbo* (16 USD) czyli takiego większego *tuktuka* i udajemy się na wycieczkę po okolicy. Naszym celem są wspaniałe, jakże różniące się, wodospady Tat Sae i Tat Kuang Si. Tat Sae to niezwykle rozległa,



przelewająca się szerokim strumieniem przez las, po małych progach kaskada wody. Żeby móc go podziwiać, trzeba najpierw przejechać drogą nr 13 kilkanaście kilometrów, po czym przepłynąć łodzią około 2 km i znaleźć się po drugiej stronie rzeki (2 USD łódź + 8000 kipów zwiedzanie). Natomiast Tat Kuang Si to potężny wodospad, który w porze deszczowej z olbrzymią siłą spada w dół z wielkiego progu skalnego wzbijając w powietrze chmurę wody. Do niego z kolei dotarliśmy w 1,5 godziny, jadąc 30 km gruntową drogą przez dżunglę i pola ryżowe (bilet wstępu 1 USD). Po zwiedzeniu wodospadów wracamy z powrotem do miasta, gdzie tradycyjnie udajemy się wieczorem na piwo i kingfisha. Tak, bez wątplenia Laos jak na razie bardzo przyjemnie nas zaskoczył. Nie ma tutaj nachalnych sprzedawców i naganiaczy, kierowcy nie używają klaksonów, nawet klimat też dużo lepszy, niż w sąsiednich krajach, z nieco mniejszymi upałami i niższą wilgotnością.



Kingfish

Na następny dzień zaplanowaliśmy spływ *slow boat* do Nongkhiaw (11 USD) maleńkiej wioski położonej nad jednym z dopływów Mekongu. Nasza łódź okazała się ekstremalnie wolna - na małych drewnianych ławeczkach w długiej dżonce i przy strasznym hałasie z 16-sto zaworowego silnika Toyoty spędziliśmy 8 godzin. Koszmar. Ale poznaliśmy za to dogłębnie życie w dorzeczu Mekongu. W samym Nongkhiaw oprócz mostu przerzuconego przez rzekę i kilku domów nie ma praktycznie nic. Zatrzymaliśmy się w hotelu składającym się z bambusowych chatek (*Bamboo Paradise*) po 2 USD za chatkę oczywiście z widokiem na most. Nazajutrz zwiedziliśmy w okolicy całkiem sporą jaskinię, w której tubylcza ludność ukrywała się przed amerykańskimi nalotami (0,5 USD). A naloty były naprawdę konkretne, okolica jest pełna lejów i niewybuchów. Szacuje się, że na sam tylko Laos USA zrzuciło 2 mln ton bomb!!! Całkiem sporą kolekcję przeróżnych rodzajów amunicji grubego kalibru możemy oglądać przed... naszą bambusową chatką, w której nocowaliśmy. W południe wracamy sporym pickupem, pełniącym rolę lokalnego środka transportu do Luang Prabang (28 tys. kipów). Po 5 godzinach jesteśmy na miejscu, a że to pora kolacji udajemy się tradycyjnie na kingfisha. W ostatnim dniu pobytu w Luang Prabang zwiedzamy Pałac Królewski (2 USD), w którym pośród licznych eksponatów z Laosu i ze świata jest kilka drobiazgów z Polski. Następnie płyniemy łódką na drugą stronę Mekongu (4 USD), gdzie zwiedzamy kolejne dwie świątynie i dość okazałą jaskinię (0,5 USD).





---

Taki klimat tylko w Laosie

Wieczorem kupujemy prezenty na targu oraz przejazd do Vang Vieng (8,5 USD). Miniwanem o 9:30 rano opuszczamy przepiękne Luang Prabang i jedziemy na południe Laosu. Droga pełna widoków przebija się przez malownicze góry, osiągając momentami ponad 1400m przełęcze. Po 5,5 godzinach dojeżdżamy do malutkiego miasteczka Vang Vieng położonego u stóp wapiennych skał. Oprócz pensjonatów, knajp i różnych agencji podróżniczych nie ma tutaj nic więcej. No może nie do końca. Okolice słynie bowiem z pięknych jaskiń i spływów wielkimi dętkami, bądź kajakami po górskiej rzece. Niewiele się zastanawiając kupujemy całodzienną wycieczkę obejmującą spływ kajakami, jaskinie, oraz zjazd na linie i skoki do rzeki (8 USD). Wycieczkę mamy dopiero nazajutrz, więc korzystając ze stosunkowo wczesnej pory odwiedzamy okoliczne knajpki. Przeglądając menu ze zdumieniem dostrzegam takie pozycje jak: *magic mushroom pizza*, *opium shake*, *joint* i inne skarby natury. Co ciekawe na ścianie wisi informacja, że używanie narkotyków w Laosie jest nielegalne. Coż co kraj to obyczaj...



---

Wodospad Tat Sae

Rankiem, po śniadaniu, zaopatrzeni w kaski, kamizelki ratunkowe i nieprzemakalne torby, zostajemy zapakowani do pickupa, którym jedziemy drogą około 20 km w górę rzeki. Odpowiednio poinstruowani i przeszkoleni sadowimy się w specjalnych górskich kajakach i startujemy. Na początek przepływamy króciutki dystans jaki nas dzieli do jaskini Słonia. To bardzo mała grota ze skałą przypominającą kształtem to sympatyczne zwierzę. Następnie udajemy się do kolejnej jaskini, którą zwiedza się pływając na napompowanych dętkach. Trzymając się liny aby nie porwał nas bardzo silny prąd przepływającej przez jaskinię rzeki wpływamy przez maleńki otwór do



środku. Stopniowo przemieszczamy się w głąb jaskini, co jakiś czas przeciskając się przez na wpół zatopione wąskie przesmyki. Wnętrze nie jest oświetlone, korzystamy z własnych czołówek, co dodatkowo podnosi adrenalinę. W pewnym momencie prąd jest tak silny, że z ledwością udaje nam się przepłynąć dalej do kolejnej komnaty. Tu robi się trochę więcej miejsca, także da się w końcu stanąć i podziwiać wspaniałą szatę naciekową. Jaskinia jest rewelacyjna, a pomysł na takie udostępnienie jej zwiedzającym niezwykle śmiały i oryginalny. Ale o tym że Laos jest fantastyczny chyba już pisałem...



Targ

Niesieni przez szmaragdową wodę z żalem wypływamy z tej niezwykłej jaskini. Ani żeśmy się obejrżeli jak zrobiła się pora lunchu, na który zostaliśmy zaproszeni przez organizatorów naszej wycieczki do małej wioski. Najedzeni pełni nowej energii, wsiadamy do kajaków i zaczynamy już na poważnie spływać rzeką. Rzeka choć ma wartki prąd i kilka małych progów nie jest specjalnie wymagająca, ale i tak trzeba uważać aby nie zaliczyć wywrotki. Po mniej więcej dwóch godzinach doływamy do miejsca, w którym poprowadzono tyrolkę, czyli zjazd na rozwieszonych linach z wysokiego drzewa. Rzeka w tym miejscu ma kilka metrów głębokości, a wszystko jest tak zaprojektowane, że zjeżdżając na linie wpada się prosto w jej otchłań. Po wynurzeniu silny prąd spycha śmiałka z powrotem do brzegu. Zabawa jest naprawdę przednia, także zaliczamy kilka takich karkołomnych zjazdów. Późnym popołudniem wracamy kajakami do Vang Vieng, gdzie jeszcze długi czas imprezujemy w kilku knajpkach. Na drugi dzień opuszczamy rozrywkowe miasteczko i jedziemy *VIP Busem* do Vientiane (4 USD). Niestety nasz autobus to stary trup, który wlecze się niesamowicie, by w końcu zepsuć się w połowie drogi. Po godzinnej przymusowej przerwie, jakimś cudem udaje się go jednak naprawić także wczesnym popołudniem jesteśmy w stolicy Laosu. Zakwaterowawszy się w jednym z hoteli w pobliżu Mekongu (9 USD z AC) ruszamy w miasto, na ekspresowe zwiedzanie. Niestety wszystko co godne zobaczenia jest zamykane już o godzinie 16:00, także główne atrakcje jakimi są Wat Si Saket, Patuxai, Pha That Luang oglądamy jedynie z zewnątrz. Wieczorkiem, zgodnie z tradycją udajemy się na przepyszne lane piwo, oczywiście Lao Beer, a później do lokalnej kuchni umiejscowionej na nabrzeżu Mekongu.





Widok z Phu Sin na Luang Prabang

Bardzo wcześnie rano opuszczamy hotel i *tuktukiem* jedziemy na przejście graniczne (300 batów). Po opłaceniu podatku wyjazdowego (2500 kipów), wsiadamy do autobusu, który przewozi nas przez Most Przyjaźni do Tajlandii. Tu załatwiamy resztę formalności i busikiem (30 batów) udajemy się na dworzec autobusowy do Nong Khai. Kupujemy bilety do Bangkoku w cenie 323 batów (bilety na taki sam autobus bezpośrednio z Vientiane są prawie dwa razy droższe) i zjadamy śniadanie w dworcowej knajpie. Przed nami 12-sto godzinna podróż stosunkowo wygodnym, klimatyzowanym autobusem, po nowoczesnej tajskiej autostradzie. W nocy jesteśmy w Bangkoku, tym razem wybieramy hotel w jednej z bocznych uliczek od Khao San (350 batów za trójkę). Ostatni dzień naszego wyjazdu poświęcamy na zwiedzanie Bangkoku. Niestety czasu nam wystarcza tylko na wspaniałe Wat Pho (największy posąg leżącego Buddy) i Grand Palace. Po południu udajemy się do wielkiego centrum handlowego zobaczyć co w swej ofercie mają azjatyckie giganty. Mimo, że spędzamy tam sporo czasu to jakoś nie jesteśmy specjalnie zachwyceni, także koniec końcem niczego nie kupujemy. Wieczorem spotykamy bardzo sympatyczną parę Warszawiaków, z którymi przy piwku przez kilka godzin miło sobie gawędzimy w jednej z licznych knajpek na Khao San. W końcu zmęczeni wracamy do hotelu, na ostatni już nocleg.



Łuk triumfalny w Vientiane

17 września, po miesiącu spędzonym w Indochinach, jedziemy taksówką na lotnisko (300 batów). Tam płacimy opłatę wyjazdową (500 batów), przechodzimy odprawę i w dość egzotycznym towarzystwie wracających z wakacji Rosjan wsiadamy do samolotu Aerofłotu. Po 9-cio godzinnym locie Moskwa wita nas 8-oma °C. W Warszawie jest jeszcze chłodniej i pomyśleć, że jeszcze kilkanaście godzin temu było o 30°C więcej...



## Na koniec kilka rad i sprawdzonych patentów:

- Niestety w okresie w którym przebywaliśmy (sierpień-wrzesień) klimat jest wysoce niekorzystny. Straszne upały w połączeniu z bardzo wysoką wilgotnością wywołują obfite pocenie się i są niezwykle uciążliwe i męczące. Jednak mimo iż to pora monsunowa, ani razu nie zostaliśmy zrani przez ulewę. Padało naprawdę rzadko, głównie zresztą w nocy.
- W Warszawie można uzyskać wizę Tajlandii (podwójna 200 zł), Laosu (30 USD) i Wietnamu (30 USD). Wizę Kambodży można załatwić w Bangkoku, bądź też na granicy (max. 30 USD). Do wniosku potrzebne jest zdjęcie, które warto zabrać ze sobą z kraju.
- Bardzo dobre są oryginalne przewodniki LP *Cambodia, Laos, Vietnam*. Dodatkowo korzystaliśmy z polskiego tłumaczenia Pascala *Azja Południowo-Wschodnia*.
- Kraje te należy uznać za bezpieczne, poznani tubylcy byli bardzo życzliwi, ani razu nie spotkały nas też jakieś nieprzyjemne incydenty.
- Jeżeli liczycie na jakieś wsparcie ze strony polskiej ambasady w Hanoi, to zapomnijcie, nie potrafią bądź nie chcą podać najprostszej nawet informacji. Zresztą najlepszą jej wizytówką jest gabłota przed budynkiem, która reklamuje nasz kraj wypłowiałymi od słońca zdjęciami bociana i drewnianych chałup.
- W rejonach turystycznych, w knajpach, biurach podróży nie ma większych problemów z porozumiewaniem się, kraje te nastawione są na turystów, więc tubylcy posługują się językiem angielskim.
- Należy bardzo uważać poruszając się po Laosie i Kambodży, gdyż w tych krajach wciąż znajduje się bardzo dużo niewybuchów i min z czasów wojny. Nie należy zatem zbaczać z utartych dróg i szlaków.
- Przy wejściu do niektórych świątyń i pałaców, wymagany jest odpowiedni strój, tzn. długie spodnie i zakryte ramiona. Należy też pamiętać o ściąganiu butów, wszystkie te miejsca zwiedza się chodząc boso. Co ciekawe w Laosie dobry obyczaj nakazuje zdjęcie obuwia również przy wejściu do hoteli a nawet niektórych restauracji.
- Trzymając się zaleceń lekarskich, zażywaliśmy profilaktycznie Lariam, czyli lekarstwo zapobiegające malarii. Bez problemu można je dostać na polską receptę w Czechach, oszczędzając przy tym znacznie, gdyż w Polsce ten lek jest o 1/3 droższy.
- Jedyna zdatna do picia woda, to ta oryginalnie zamknięta i dodatkowo zafoliowana. Niestety jest ona kompletnie bez smaku i nie gasi pragnienia. Nic dziwnego zatem, że najlepszym napojem na upały jest zimne piwo i soki ze świeżych owoców.

